Nr. 19. Warszawa, d. 1 Października 190 7 r. R. IX

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyżka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYSLIWSKI.

W październiku wolno polować na: dziki, łosie, jelenie, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacya w październiku.

Nów d. 7 o g. 11 m. 55 r.
Pierw. kw. d. 14 o g. 11 m. 36 r.

Wschód i Zachód Słońca

w październiku.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	6	2	5	38
2	6	4	5	36
3	6	6	5	3[illegible]
4	6	7	5	[illegible]
5	6	9	5	28
6	6	10	5	25
7	6	12	5	23
8	6	14	5	21
9	6	16	5	19
10	6	18	5	16
11	6	20	5	14
12	6	22	5	11
13	6	24	5	9
14	6	26	5	7
15	6	28	5	5



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 205.

Nr. 19. | Warszawa, d. 1 października 1907 r. | Rok IX.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



PSY NIEMIECKIE W POLU

Myślistwo a rolnictwo.

Niedawno odbył się w Wiedniu międzynarodowy kongres rolniczy, w którym—dodajemy nawiasowo — brał udział także przedstawiciel Centralnego Towarzystwa Rolniczego z Królestwa Polskiego. Na kongresie tym łowiectwo nie miało oficyalnego przedstawiciela w żadnej sekcyi. Nie poświęcono też żadnego referatu tej gałęzi gospodarstwa krajowego. W poszczególnych sekcyach, co prawda, rozbierano rozmaite kwestye myśliwskie, niepodobna jednak wyrobić sobie pojęcia o całości poglądów tu wyrzeczonych w sprawie znaczenia ekonomicznego i wartości etycznej łowiectwa.

Natomiast szczegółowo zastanawiano się nad pożytkiem i szkodą wielu gatunków zwierzyny w rolnictwie i leśnictwie, w sekcyi VII (ochrony roślin) w referatach prof. d-ra Karola Ecksteina z Eberswalde, oraz d-ra W. Sedlaczka z Mariabrunn.

Eckstein dowodził: Zwierzyna w państwach kulturalnych nie żyje już w takich warunkach, w jakich przyroda ją umieściła; pozostaje bowiem pod przemożnym wpływem człowieka, który nią się opiekuje i posługuje do celów własnych. Pożytek i szkodliwość zwierzyny zależą od warunków danej okolicy i kierunku gospodarowania. Za przykład służyć mogą dziki. W rozległych obszarach leśnych dzik jest zwierzyną pożyteczną: rozorywa ziemię, pakuje w nią żołędzie i buczynę, wytwarzając dla nich wyborne grzędy do nowych zarodków, a jednocześnie niszczy w ten sposób mnóstwo owadów. Natomiast, gdzie drobne parcele leśne graniczą z polami, wychodzi na nie i wyrządza znaczne szkody rolnictwu. Wiadomo, że wzgląd na to był przyczyną wydania niektórych praw i rozporządzeń, mających na celu tępienie dzików.

Tutaj jednak, jak i wogóle przy wydaniu wszelkich praw o szkodliwości zwierzyny, należy liczyć się z faktem, że rolnik i leśnik są także zainteresowani w istnieniu łowiectwa, wskutek czego wynaleziono rozmaite środki — częściowo z bardzo dobrym wynikiem - w celu unikania dotkliwych szkód przy hodowli dobrego zwierzostanu. Rolnicy i właściciele lasów są zainteresowani w utrzymaniu zwierzyny, częściowo jako myśliwi, a po części jako właściciele gruntów, otrzymujący wysokie odszkodowanie za szkody, przez zwierzynę wyrządzone, oraz mający dochody z wydzierżawienia polowań.

Eckstein omawia następnie sprawę łowienia kwiczołów i przepiórek. Uważa za bardzo niewłaściwe (?) prześladowanie sokołów wędrownych, jako nieprzyjaciół gołębi pocztowych, które z czasem będą zupełnie niepotrzebne, z powodu rozpowszechnienia telegrafu bez drutu.

Nieraz jednak cele, do których dąży myśliwy— a rolnik, są wręcz odmienne. Włościanin widzi zapewne chętnie koty, które łowią myszy w polu; myśliwy zaś uważa koty za szkodliwe dla łowiectwa. Właściciel lasu ochrania, ze względów estetycznych, rybitwę, która znowu wielkie szkody wyrządza właścicielowi stawów zarybionych. Na zapytanie—mówi dalej Eckstein—, czy lis, jeż, drozdy, szpaki, gawrony, wilgi, lub ptaki drapieżne są pożyteczne, czy szkodliwe, usłyszymy albo bezkrytyczne frazesy oklepane, albo sąd wyrobiony na zasadzie własnego poglądu, który często mija się z oklepanem pojęciem ludu, na korzyść, lub niekorzyść danego gatunku zwierzyny.

Jakże często zwalczamy już obecnie zdanie, że „wszelkie ptaki owadożerne są pożyteczne, ponieważ tępią zwierzątka szkodliwe". Czyż bowiem możemy wiedzieć, że ten lub ów ptak pożera więcej szkodliwych, niż pożytecznych owadów? A obecnie bardziej, niż dawniej, przypisuje się ogromne znaczenie pożytecznym owadom. Podczas gdy tu chcemy się pozbyć wielu owadów w lasach, to praktyczny Amerykanin stara się, owszem, te owady pasorzytnicze zaaklimatyzować za oceanem. Eckstein porusza jeszcze kwestyę, że o ile użyteczny gatunek zwierzyny wyniszczy wszystkie szkodniki, stanowiące jego pożywienie, to potem będzie musiał sam wywędrować z braku żywności.

Lecz i szkodliwe zwierzęta w pewnych warunkach przeszkadzają rozwojowi szkód większych. Gdy np. w Rosyi południowej wyniszczono trucizną susły, to ptaki drapieżne zmuszone były łowić inne zwierzęta. Rzuciły się więc głównie na przepiórki, które też zaczęły szybko ginąć.

TRZY NOCE.

(Ciąg dalsey).

II.

Wróciłem do domu późnym wieczorem, zmęczony okropnie całodziennem tropieniem kun po głębokim śniegu i, ledwie zdążywszy się rozebrać, zasnąłem kamiennym snem. Zbudziło mnie głośne stukanie do okna. Wyskoczyłem z łóżka i w świetle księżyca ujrzałem przylepioną do szyby twarz Falkowskiego, w otoczeniu sopli lodu, zwisających mu z brody, wąsów, i z kudłatej baraniej czapy; nie mogąc widocznie dobudzić się mnie zwykłymi sposobami, wdrapał się on na pochyłą galeryjkę, otaczającą dom, i miarowemi uderzeniami krzepkiej prawicy walił w ramę okienną, aż szyby drżały, brzęcząc żałośnie. Bojąc się, aby Falkowski tym nocnym alarmem nie postawił na nogi całego domu, zacząłem rozpaczliwie wymachywać rękami, dając mu znaki porozumiewawcze, które on dojrzał widocznie, bo zeskoczył na ziemię i zaczął się przechadzać pod oknami. Teraz dopiero przypomniałem sobie, żem dnia poprzedniego polecił Falkowskiemu, aby mnie obudził o północy; miałem zamiar poczatować na wilki, które, sądząc ze śladów, odwiedzały nocami zdechłego konia, leżącego pod lasem, w odległości wiorsty od domu; do północy miał czatować Falkowski, po północy — ja.

W kilka minut byłem gotów i, odziany w długi, barani kożuch i ciepłe, wojłokowe buty, t. zw. u nas „walonki", z wierną dwunastką, przewieszoną przez ramię, wyszedłem na ganek. „Były wilki?" spytałem Falkowskiego, nie wiem poco, zniżając głos do szeptu. „Nic nie widziałem, zato zmarzłem porządnie", mruknął tenże, przytupując na miejscu i klepiąc się rękami po bokach. Wiadomość ta pocieszyła mnie po przykrem rozstaniu się z wygrzanem posłaniem, była bowiem nadzieja, że wilki przyjdą nad ranem.

Wyszedłszy za parkan, okalający ogród, rozeszliśmy się z Falkowskim w przeciwne strony: on poszedł do chaty, ja zaś skierowałem swe kroki ku grupie sosen, świerków i dębów, stojącej w polu niedaleko od brzegu lasu, dokąd zazwyczaj wywożono padlinę.

Chociaż był to już początek marca, lecz wiosna w tym roku zapóźniła się niezmiernie i pierwsze odwilże nie zdołały jeszcze naruszyć grubego całunu śniegu, pozostałego po ostrej i nadzwyczaj śnieżnej zimie. Mróz nocami dochodził do piętnastu stopni niżej zera, tworząc na powierzchni śniegu, stopionej w dzień przez marcowe słońce, tak mocną

Stąd wynika, że absolutnie szkodliwe są tylko nieliczne zwierzęta, np. myszy, chrabąszcze, a z motyli toczyśniat; ale i tu są pewne okoliczności, wskazujące na pożytek tych zwierząt; myszy np. z pożytkiem rozmiękczają grunt na łąkach. Absolutnie pożytecznem nie jest żadne zwierzę. W przyrodzie jednak istnieć muszą wszystkie zwierzęta.

Dla ich ochrony przeto wystarczy uznanie następującego orzeczenia: „Zabrania się zabijać jakiegokolwiek zwierzęcia, które nie wyrządza szkody dowiedzionej". Oczywiście, że do urzeczywistnienia tej idei jest jeszcze bardzo daleko. Widzieliśmy, że bezwzględne prawa często więcej szkodzą, niż pomagają; wszyscy wiemy z doświadczenia, że wielu rozporządzeń uskuteczniać nie można, z powodu przeszkód lokalnych; trzeba przeto zostawiać wszędzie stosowanie prawa, odpowiednio do warunków miejscowych. Nic nie można przekształcać odrazu za jednym zamachem. Z dnia na dzień Niemiec nie wyrzeknie się łowienia kwiczołów, mieszkancy południa—przepiórek, Belgijczyk—strzałów armatnich do kaczek na wybrzeżu morskiem.

Eckstein stawia w końcu następujące wnioski:

1. Nieliczne jedynie zwierzęta są absolutnymi szkodnikami rolnictwa i leśnictwa równocześnie.

2. Należałoby życzyć powszechnej, ściśle przestrzeganej ochrony wszelkim zwierzętom, dopóki w poszczególnych wypadkach nie będzie dowiedzione, że są istotnie szkodliwe.

3. U wielu zwierząt należy starannie rozważyć kwestyę ich pożytku, lub szkody, i stosownie do górujących właściwości wydać polecenie ograniczenia (u sarn, jeleni) i tępienia (u królików, gawronów), albo też ochrony w większym, lub mniejszym stopniu.

J. K—e.

(Dok. nast.).

REFORMA USTAWY ŁOWIECKIEJ
W GALICYI.

W „Czasie" krakowskim znajdujemy następującą korespondencyę o reformie ustawy łowieckiej w Galicyi.

Lwów, 18 września.

Komisya administracyjna podjęła na nowo przerwaną wskutek odroczenia w marcu Sejmu, pracę nad reformą ustawy łowieckiej.

Referent, p. Hupka, postawił przedewszystkiem wniosek o reasumcyę uchwały komisyi co do § 54 ustawy. Komisya uchwaliła na ostatniem posiedzeniu w marcu r. b. § 54 zgodnie z projektem wydziału krajowego, odrzucając odmienny wniosek referenta. Referent zastrzegł sobie wówczas żądanie reasumcyi, ewentualnie gotów był złożyć referat.

P. Hupka zwrócił obecnie uwagę komisyi, że § 54 w brzmieniu, proponowanem przez wydział krajowy, zawiera nakaz tępienia szkodliwej zwierzyny bez żadnej sankcyi, bez żadnych zgoła rygorów na wypadek niestosowania się do nakazu. Referent uważa podobne platonicznej natury postanowienia za wysoce niepedagogiczne, zwłaszcza w kraju, gdzie tyle ustaw się nie wykonuje. Referent przedłożył wreszcie swój wniosek z odmienną stylizacyą tego paragrafu. Po długiej dyskusyi uchwalono znaczną większością reasumcyę, następnie zaś przyjęto § 54 zgodnie z wnioskiem referenta, z poprawkami pp. Adama Jędrzejowicza i Staniszewskiego w następującem brzmieniu:

§ 54. Na właścicieli samoistnych okręgów myśliwskich, dzierżawców polowań, oraz ustanowionych myśliwych wkłada się obowiązek tępienia w każdej porze niedźwiedzi, wilków, rysi, żbików i dzików. Polityczna władza powiatowa obowiązaną jest do sprawdzenia, czy wyżej wymienieni obowiązek ten w dostatecznej spełniają mierze, i może, po przeprowadzonem dochodzeniu, zarządzić tępienie wymienionej zwierzyny na koszt uprawnionych do polowania przez ustanowionych ze swego ramienia, myśliwych. Władza może również w takim wypadku dzierżawę polowania zbiorowego za rozwiązaną uznać, względnie przedłożyć namiestnictwu wniosek o zarządzenie zmiany osoby myśliwego. Wykazane koszta nadzoru i tępienia wyżej

lodową skorupę, że w rannych godzinach jeździć można było po niej saniami bez obawy zapadnięcia się.

Szedłem, jak po posadzce, równym i szybkim krokiem, i ani się obejrzałem, jakem stanął przy gromadce drzew, zwanej „bydlęcym cmentarzem". Obrałem sobie wygodne siedzenie na wystających korzeniach starej, pochylonej przez wiatr sosny i, oparłszy się o pień plecami, zasłonięty kilkoma krzakami jałowca, rozejrzałem się po okolicy.

Przed sobą miałem obszerny płat pola, za którym widniały dachy zabudowań folwarcznych, a z prawej strony, w odległości kilkudziesięciu kroków odemnie czerniała ściana starego, ciągnącego się na dziesiątki wiorst lasu, skąd spodziewałem się przyjścia nocnych gości. Między mną a lasem sterczały obnażone żebra szkieletu końskiego, na którym tylko wilcze zęby mogłyby znaleźć resztki pożywienia.

Tak widne noce, jaką była ta, możliwe są tylko na schyłku zimy, światło bowiem pełnego księżyca, niby w olbrzymiem lustrze, odbijało się w zlodowaciałej powierzchni śniegu, rozsiewając w atmosferze promienną jasność. Jedynie wnętrze lasu pozostawało mrocznem i posępnem: szeroko rozpościerały czarne świerki swe kosmate gałęzie, jak gdyby chciały skryć jakąś tajemnicę przed okiem natrętnego człowieka.

Żaden dźwięk nie wstrząsał mroźnem powietrzem, raz tylko przeleciały wysoko nademną jakieś ptaki, a po ostrym świście ich skrzydeł, w szybki wprawionych ruch, poznałem, że to wielkie, morskie nury lecą na północ, poczuwszy zbliżanie się wiosny. Jaki los czeka na dalekiej północy tych śmiałych zwiastunów wiosny? czy zastaną morze, wolne od lodu, czy też, wycieńczone długą i bezpłodną tułaczką, zmarzną gdzieś wśród lodów i skał?

Z zamyślenia wyrwało mnie przeciągłe, przez odległość stłumione szczeknięcie lisa; powtórzyło się ono raz i drugi i znów zapanowała martwa cisza zimowej nocy.

Minęły dwie, a może i trzy godziny od chwili mego przyjścia, gdy z leśnych czeluści wynurzyły się dwa niewyraźne cienie; jeden z nich zaczął się zwolna zbliżać ku padlinie, zatrzymując się co kilka kroków i wznosząc do góry szeroki łeb, opatrzony małemi, trójkątnemi uszkami.

W świetle księżyca nietrudno było poznać w tej szarej postaci ogromnego wilka; drugi pozostał na brzegu lasu, ostrożniejszy od swego towarzysza.

Józef Woyniłowicz.

(Dok. nast.).

wymienionej zwierzyny, ściągnie polityczna władza powiatowa w drodze egzekucyi politycznej.

Następnie wywiązała się ożywiona dyskusya w komisyi nad § 56, co do którego przedłożył referent zupełnie odmienne wnioski, różniące się od wniosków wydziału krajowego tem przedewszystkiem, że uchylają prawo tępienia szkodników, przyznawane właścicielom gruntów, a składają ten obowiązek wyłącznie na uprawnionych do polowania.

W dyskusyi nad tym paragrafem zabierali głos pp. Buynowski, Torosiewicz, Jabłoński, Abrahamowicz, Cieński i Sozański. W głosowaniu przyjęto § 56 w myśl wniosku referenta, z poprawkami pp. Abrahamowicza i Torosiewicza.

Przystąpiono następnie do § 57, zawierającego, w myśl wniosku referenta, p. Hupki, najważniejsze postanowienia o obowiązkach odszkodowań, i po godzinnej dyskusyi, w której zabierali głos wszyscy członkowie komisyi, przyjęto ten paragraf zgodnie z wnioskiem referenta, z poprawką p. Torosiewicza, w następującem brzmieniu:

§ 57. Za szkody, wyrządzone w ziemiopłodach przez niedźwiedzie i dziki, odpowiedzialni są uprawnieni do polowania w granicach swoich okręgów myśliwskich. Tylko w razie, gdyby przyległe do samoistnego okręgu polowania, okręgi polowania zbiorowego nie były wydzierżawione, odpowiada właściciel samoistnego okręgu za szkody, zrządzone przez wymienioną zwierzynę w odległości do 500 metrów od granic obszaru leśnego swego okręgu, na terytoryum polowania zbiorowego. Może jednak zażądać od politycznej władzy powiatowej upoważnienia do tępienia zwierzyny szkodliwej na całej powierzchni graniczących, a niewydzierżawionych okręgów polowań zbiorowych, i władza ma mu niezwłocznie upoważnienia takiego udzielić.

W razie, gdyby dzierżawca polowania zbiorowego, względnie właściciel samoistnego okręgu, graniczącego z niewydzierżawionym okręgiem polowania zbiorowego, zapłacił w roku, tytułem wynagrodzenia za szkody, wyrządzone przez wymienioną zwierzynę, kwotę większą, niż dwukrotny czynsz dzierżawny, względnie większą, niż trzecia część opłaconego ze stanowiącej samoistny okręg powierzchni, podatku gruntowego i widocznem było, że właściciele lub dzierżawcy jednego lub kilku graniczących okręgów polowania, obowiązku tępienia szkodliwej zwierzyny należycie nie wykonują, może właściciel lub dzierżawca polowania zażądać od władzy zastosowania przepisów § 54 i polityczna władza powiatowa jest w takim wypadku obowiązaną ustanowić swój nadzór i straż łowiecką, w celu tępienia szkodliwej zwierzyny na koszt opieszałych właścicieli lub dzierżawców.

Komisya przyjęła w dalszym ciągu §§ 58 do 67 włącznie, traktujące o wynagrodzeniu szkód. Następnie przeprowadzono ogólną rozprawę nad dalszymi paragrafami, traktującymi o postępowaniu w sprawie wynagrodzenia szkód. Wydział krajowy proponował, aby wydanie orzeczenia, w sprawie wynagrodzenia szkód, należało do wójta i dwóch asesorów. Referent, p. Hupka, zaproponował, aby wszelkie skargi o wynagrodzenie szkód, wyrządzonych przez polowanie i zwierzynę, rozstrzygały stanowczo i bez odwołania, powoływane w każdym poszczególnym wypadku sądy rozjemcze.

Na wniosek wydziału powiatowego, zamianuje polityczna władza powiatowa dla każdej grupy okręgów myśliwskich w powiecie o łącznej powierzchni od 3,000 do 10,000 hekt. w nizinach, a od 5,000 do 20,000 hektarów w okolicach górskich, przewodniczącego sądów rozjemczych i jego zastępcę na przeciąg jednego roku. Tak uprawniony do polowania, jak i wnoszący zażalenie, mają zaś wymienić swych mężów zaufania. Jeśli między mężami zaufania nie przyjdzie do porozumienia, rozstrzyga o przyznaniu wynagrodzenia przewodniczący sądu rozjemczego, według swobodnego uznania, i wysokości kwoty w granicach wniosków mężów zaufania.

Komisya zgodziła się w zasadzie z wnioskiem referenta na zaprowadzenie sądów rozjemczych; co do stylizacyi poszczególnych paragrafów, odroczono szczegółową rozprawę do następnego posiedzenia.

Lwów. (Tel. „Czasu“). Komisya administracyjna obradowała 18 września od g. 4 do 7 i pół wieczorem nad dalszymi paragrafami ustawy łowieckiej i przyjęła cały projekt w drugiem czytaniu. Dział ustawy, traktujący o postępowaniu przy szacowaniu szkód, zrządzonych przez polowanie i zwierzynę, od § 67 do 74 włącznie, przyjęto zgodnie z wnioskiem referenta, pos. Hupki, z poprawkami posłów Mycielskiego, Abrahamowicza, Jabłońskiego i Bujnowskiego. Między innemi przyjęto § 67 w stylizacyi, przedłożonej przez pos. Mycielskiego, na którą się referent zgodził. Stylizacya ta różni się tem od wniosku referenta, że kładzie jako warunek wezwania ingerencyi sądu rozjemczego, poprzednią próbę dobrowolnej ugody i wykazanie, że ugoda nie p zyszła do skutku. § 72, traktujący o egzekucyi sądowej, w celu ściągnięcia przyznanego wynagrodzenia, zostawiono, na żądanie członków wydziału krajowego, Pilata i Maissa, w zawieszeniu do następnego posiedzenia. Przy dziale, traktującym o kartach myśliwskich, uchwalono, na wniosek pos. Sozańskiego, dodać ustęp, że karty myśliwskie zawierać mają fotografię właściciela.

Sprawa reformy ustawy łowieckiej przyjdzie już w przyszłym tygodniu na porządek obrad sejmu.

Z życia wilków karpackich.

Skreślił

JAN MARCINKÓW

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Po pewnym czasie przychodzę zaglądnąć do konia, i ku swemu niemałemu zdziwieniu widzę już zdaleka jedno żelazo zamknięte, a w drugiem żelazie, pomyśli zapewne szanowny czytelnik, że wilk; gdzie tam, nie wilk, tylko nieboszczyk koń, a w dodatku w jakiej oryginalnej pozycyi, na tylnych nogach stoi niezgrabnie w śniegu, a głową w żelazach!

Działo się to pod wiosnę, kiedy „mysio“ już z gawry wyruszył, a w braku lepszych delicyj, chciał się po zimowym letargu posilić koniną.

Wziął tedy przez pół leżącego konia, podniósł w górę i zaczął taszczyć. Tymczasem zawadził końskiem ścierwem o jedno żelazo, a gdy się to zatrzasło, zdaje się, spłoszony trzaskiem, cisnął koniem o ziemię tak, że tylne nogi końskie zabiły się w śnieg, głowa zaś trafiła na drugie żelazo, które konia po śmierci złapało.

Niedźwiedź, widząc zapewne, że tu coś „niesamowitego“, a tem samem podejrzanego, uważał za stosowne zrezygnować z taniego mięsa końskiego i wyniósł się, jak niepyszny, w dalsze obszary puszczy leśnej.

Konia, naturalnie, z żelaza uwolniłem, umieściłem go na poprzedniem miejscu, żelaza napowrót ponastawiałem, ale już chyba na to, aby po kilkomiesięcznem rdzewieniu, po zupełnem stajaniu śniegów i zgniciu ścierwa pozabierać do domu.

Tymczasem jednak nakrajałem był dość sporą ilość ochłapów, w które ponakładałem był stearynowych kapsułek ze strychniną, nawet w dość znacznem oddaleniu od konia, i te już wywarły pomyślniejszy skutek, bo chociaż wszystkie 14 wilków się nie struły, to przecież ośmiu wilkom tak się po pigułkach, czyli kapsułkach, było niedobrze zrobiło, że musiały się ze światem pożegnać.

W sąsiednim rewirze Wełdzirskim złapał na żelaza tamtejszy leśniczy, Z., 4 wilki, drugi zaś leśniczy, M., ubił wilczycę i zabrał jej 5 młodych, które długi czas u siebie hodował, a później porozdawał, a jednego ubił strażnik lasowy, B., z którym to wilkiem była ciekawa przeprawka, jaka się nieczęsto trafia.

Przy końcu marca, przy dobrej ponówce, zawiadomiono mię, że nad rzeką Mizunką leży świeżo rozdarta przez wilki łania.

Udałem się tam więc, aby rzecz sprawdzić i aby, w razie potrzeby, ponakładać ochłapów z kapsułkami, a wziąłem z sobą dwóch strażników, R. i B.

Przyszedłszy na miejsce, zastałem rzeczywiście rozdartą łanię i ślad tylko jednego wilka, łania była mało co uszkodzona, tylko poszarpana i wypatroszona dość należycie. Zebrałem się tedy do krajania sznycelków i napychania kapsułek, a że tuż obok spostrzegłem też ślad dzika, przeto wyprawiłem strażnika B., aby poszedł go tropić, sam zaś zostałem ze strażnikiem R. przy fabrykacyi „kanapek“ dla wilków.

Po chwili słyszę, że strażnik B., który poszedł tropić dzika, strzelił raz; za parę minut, słyszę poprawił drugim strzałem.

Byłem więc pewny, że doszedł do dzika i strzelił, drugim zaś strzałem dobijał. Po pewnej chwili słyszę trzeci strzał, nareszcie czwarty, ba, nawet później i piąty.

Nagle widzę, jak strażnik B. biegnie z góry, jak szalony, wprost do mnie; przylatuje zdyszany i melduje, że pięć razy strzelał do wilka, a wilk, zamiast padać, biegnie ciągle w prostym kierunku na niego.

Nie chciałem w pierwszej chwili wierzyć tej historyi, a że byłem właśnie zajęty wkładaniem kapsułek do ochłapów, poleciłem strażnikowi, by wziął mój sztuciec i poszedł wilka dobić, lecz on rzekł, że jest tak tem dziwnem zachowaniem się wilka przerażony i ucieczką zmordowany, iż nie byłby w stanie należycie strzelić, gdyż mu już ręce ze strachu się trzęsą.

Prosi mię, abym sam poszedł, gdyż wilk niedaleko i ciągle na dół potokiem ku nam postępuje, a nawet i farbuje.

Rad nie rad, spakowałem naprędce swoją aptekę, pozostawiłem „kanapki“ niedokończone, chwyciłem za sztuciec i udałem się na miejsce, gdzie strażnik B. wilka pozostawił.

A że była piękna ponówka, więc tem łatwiej było po śniegu skonstatować, jak rzeczy stoją.

(Dok. nast.).

(„Łowiec“).

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do krainy Maggaï.

Przez

Edwarda Trojanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Cudowna, tropikalna noc zawisła nad ziemią, gdy piszę te słowa. Na zachodniej stronie świeci łuna, to stepy palą się w oddali, jak okiem sięgnąć. W górze, na kształt iskier, lśnią tysiące gwiazd. W oddali, do czarnej plamy podobny, widnieje Donio-Sabuk, osnuty mgłą, jak siną gazą.

Obóz mój śpi, i tylko przy ognisku, podparty dzidą, stoi strażnik, dorzuca od czasu do czasu kawały drzewa i wtedy, jak roje złotych muszek, tysiące iskier wraz z dymem ulatują ku niebu. Reszta innych ludzi, poowijana w kołdry, pomęczona długim marszem, otoczywszy ognisko, w głębokim zalega śnie. Zdala dolatują mnie chrapliwe głosy hipopotamów, to ptak jakiś, przelatując nad obozem, zakwilił dziwnie. Ze stepów dochodzą przeraźliwe wycia hyen, mające coś w sobie niezmiernie ponurego, przerywane szczekaniem szakali.

Zmęczony, zasunąłem wejście mego namiotu, i spojrzawszy raz jeszcze na stojące obok, nabite sztucery, przygasiłem latarnię, palącą się w rogu namiotu, i rzuciłem się na łóżko.

Sen, mimo zmęczenia, jakoś nie przychodził, spędzony widocznie nadmiarem wrażeń, doznanych w ostatnich czasach, a może ta noc, tak piękna, do dumań i rozmyślań dziwnie usposabia, żem długie chwile po przestworzach gonił, robiąc projekta na przyszłość, to wstecz biegnąc myślą. Byłem tam, tam daleko, wśród śniegów i mrozów kochanej ojczyzny.

19 luty. Około g. 8 zrana miałem wizytę dwóch dżentelmanów, o których ludzie moi wczoraj wspominali. Panów tych spotkałem w Mombassa. Wyruszyli na parę dni przedemną na wyprawę myśliwską.

Mimo wczesnej pory, dla uświetnienia tak miłego spotkania, wychyliliśmy parę szklanek whisky, i życząc sobie wzajemnie powodzenia, rozstaliśmy się. Panowie ci powędrowali w stronę gór Lukenia.

Dziś, z powodu niedzieli, postanowiłem dać wypoczynek swym ludziom, nawet nie polować samemu. Jednakże, gdy mi znowu jeden z mych strzelców wspomniał o „kiboko“, wziąłem karabin, i mimo upału, poszedłem nad rzekę. Trzeba się znowu było przedzierać przez zarośla kolczaste i wysokie trawy.

Z największą ostrożnością doszedłem do wody, i wyszukawszy cieniste miejsce, przesiedziałem około godziny.

W chwilach tych, gdy upał dochodzi do kulminacyjnego punktu, zda się, że cała natura zapada w letarg. Drzewa nawet zwieszają liście i stoją bez ruchu, jak martwe, kielichy cudownych, pnących roślin więdną i smutnie ku ziemi zwieszają swe główki. Ciszę przerywa jedynie plusk ryb, to ptak czasami o barwnych piórach przeleci wśród wysepek, porośniętych papyrusami, muśnie skrzydełkiem wodę i z pośpiechem kryje się w cieniu rozłożystych drzew.

Z próżnemi rękoma powróciłem do obozu, gdzie na miękkiej trawie, pod rozłożystem drzewem spędziłem resztę dnia.

Z nastaniem wieczora temperatura szybko się ochładza i noce bywają bardzo nawet zimne, dzięki czemu niema tu moskitów. Za to istną plagą egipską są miliardy kleszczy, ktore całymi legionami przedostają się pod ubranie. Co wieczór, podczas kąpieli, odbywają się połowy tych pasorzytów przy pomocy Hamisa, do których illustracye znajdzie łaskawy czytelnik w każdym ogrodzie zoologicznym, obserwując klatkę z małpami.

Zrana następnego dnia, oddawszy Hamisowi pod opiekę obóz, z rozkazem przeniesienia go do podnóża Donio-Sabuka, gdzie, jak mi mówiono, obozuje pewien Anglik, mający założyć tam farmę,—jak zwykle, w towarzystwie swych strzelców i paru ludzi, do noszenia zabitej zwierzyny, wyszedłem na polowanie.

Po długiem podchodzeniu udało mi się zastrzelić zebrę. Następną ofiarą mych krwiożerczych zapędów był kozioł gazelli Granta, śliczne zwierzę, wielkości naszej sarny, o jasnem uwłosieniu i wspaniałych rogach, zagiętych ku tyłowi. Po godzinie podszedłem drugi taki sam okaz na 150 m. Kula strzaskała mu obie tylne nogi i mimo to biedny zwierz uszedł.

Wróciwszy na nowy swój obóz, zastałem wszystko już gotowe i namioty rozpięte. Pan Lucas (tak się bowiem ów Anglik nazywa) wyszedł na me spotkanie.

Wieczór spędziliśmy razem, bardzo przyjemnie, był moim gościem i zachwycał się plump-puddingiem, który na jego cześć kazałem podać. Opowiadał mi dużo ciekawych rzeczy, o projektach swych założenia tu farmy i nabycia od rządu kilku tysięcy akrów, o latach swych młodych, które spędził w Afryce południowej, gdzie służył w wojsku i bił się z Boerami, o bawołach, które siedzą na Danjo-Sabuku, i o swem zniechęceniu do ludzi i życia światowego, oraz pragnieniu samotności.

Zaciekawia mnie również niezmiernie wiadomość, że na szczycie Danjo-Sabuku obozuje od pewnego czasu pewien Niemiec, baron B., który od kilkunastu lat mieszka w Afryce i obecnie jest ciężko chory na czarną febrę (blok water febr.). Pan Lucas odwiedzał go przed kilku dniami, lecz niewiele mógł mu p móaz, ponieważ sam jest ubogim, zostawił mu tylko zapas chiny i puszkę mleka kondensowanego.

Biednemu Niemcowi skończyły się podobno zapasy żywności, naboi ma jeszcze zaledwie kilka sztuk, ludzie mu uciekli i zaledwie paru Massai pielęgnuje go, wyczekując śmierci swego pana.

Jutro o świcie postanawiam wdrapać się na szczyt Danjo-Sabuku i odszukać barona B.

(C. d. n.)

Polowanie na kozice w Alpach.

(Z francuskiego).

Niema z pewnością w całej Europie zwierza, na którego polowanie byłoby sportem bardziej rzeczywistym i więcej emocyonującym, aniżeli kozica. Czy się poluje na nią z zasadzki, czy też przy pomocy naganki, myśliwy musi wykazać prawdziwą tężyznę i znieść masę trudów fizycznych. Zanim się dojdzie do strzału, niezbędnem jest dać wypróbować zarówno swe płuca, jak i nogi, gdyż inaczej myśliwy mógłby zostać w drodze i celu nie dopiąć.

Z drugiej znów strony sportsmen niewtajemniczony wyobraża sobie, że ten pościg za zwierzem wśród skał i przepaści jest daleko więcej niebezpieczny, aniżeli w rzeczywistości. W wyobraźni swej widzi zawsze przed sobą przepaść o brzegach równie pionowych, jak ściany domów, gdzie go ciągnie zawrót głowy i spycha stroma skała sąsiednia, która mu zostawia ladwie kilka cali swobodnych, aby nogę postawić; zdaje mu się, że lada fałszywy krok lub najmniejsza lawina strąci go w przepaść kilkasetmetrową, dokąd spadnie już nieżywy z przestrachu, uduszony prądem powietrza na dno strumienia, który tam na dole śpiewa już pieśń pogrzebową. Tak się przedstawia debiutantowi polowanie na kozice w Alpach.

Pośpieszmy go uspokoić. Niema wątpliwości, że od czasu do czasu trafi się jaki niebezpieczny przesmyk, łatwo jednak niebezpieczeństwa uniknąć, jeśli zachowamy się ostrożnie i jeśli tylko jesteśmy dobrze wyekwipowani. Naogół biorąc, można postawić jako regułę, że każdy człowiek z dobrze zrównoważonym umysłem może się prawie nie obawiać tych wypadków podczas wypraw myśliwskich w Alpach.

Jak wiadomo, kozica spotyka się w różnych częściach Europy, prawdziwem jej królestwem są wszelako Alpy. Dane statystyczne wykazują, że ginie tam rocznie na polowaniach około 10000 sztuk kozic, z czego trzy czwarte w Austryi. Rząd austryacki ustanawia rok rocznie dane urzędowe co do zwierzyny zabitej, zadeklarowanej w całem państwie. Przeglądając te dane statystyczne, spostrzedz można, że Tyrol zajmuje pierwsze w tym względzie miejsce, a mianowicie 2400 sztuk kozic, zabijanych rocznie.

Przenieśmy się więc do tego kraju wraz z p. R. Hodgsonem, sławnym myśliwym na kozice, który tak opisuje ten rodzaj polowania.

Znajdujemy się w okolicy, zwanej Zillerthal.

Na trawą pokrytem wzgórzu, wokół którego trzy doliny się łączą, a u stóp którego dwa bystre, górskie strumienie, rycząc i pieniąc się, wpadają z rodzajem wściekłości do trzeciego, wznosi się mała chatka, jako jedyny ślad znajdowania się człowieka w tej dolinie, od której wspanialszą trudnoby znaleźć.

Po każdej stronie tych dolin wznoszą się imponujące góry, a ponad niemi w oddali widać całą seryę szczytów jeszcze wyższych, które piętrzą się jedne nad drugimi, pokryte warstwami śniegu coraz większemi, w miarę jak się oddalają od swych sąsiadów. Podnóże tych gór jest pokryte lasem sosnowym, nad nim zaś kosodrzewina pokrywa zielonym płaszczem ramiona tych gór olbrzymich. Jeszcze wyżej wreszcie wszelka roślinność ginie, a widać tylko gołe skały, zabarwione kolorem błękitnym, brunatnym lub czerwonym, w miarę jak cień lub światło słoneczne snują się po ich powierzchni nieruchomej, wiecznie przez wiatry muskanej...

....Dnia tego opuściliśmy chatkę w chwili, kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca złociły szczyty górskie, rozgrzewając powoli swem ciepłem szare i obnażone granity i błyszcząc w oddalonych lodowcach, niby promienie światła elektrycznego, które padają na olbrzymie lustro ruchome. Przez trzy godziny pięlismy się pod górę, aby dostać się na szczyt góry, która miała być terenem naszych łowów, i przez te trzy godziny prawie co kroku rozwijała się przed naszemi oczyma nowa i czarodziejska panorama. Jeden łańcuch po drugim, jeden szczyt po drugim, zniżały się przed nami, później roztaczały, odkrywając swe tajemnicze przepaści ze śniegiem i lodem, ukrytym w ich szczelinach od wieków może, gdy tymczasem w oddali dumne i chłodne lodowce zdawały się nas wyzywać, zarysowując się niby olbrzymie, różowe gromnice, wsadzone w błękitne, bez jednej chmurki niebo...

Był to koniec października, śnieg jed ak nie upadł jeszcze i powietrze, chociaż świeże i jędrne, ogrzewało się ciepłymi promieniami słońca.

Daleko od nas, w głębi doliny, strumień podobny do wstęgi z lazuru i srebra, pienił się i rozbijał ze wściekłością o skały, a śpiew jego potężny wznosił się wyraźnie aż do nas poprzez spokojną atmosferę, jakkolwiek byliśmy przynajmniej o 5 tysięcy stóp ponad dnem doliny.

Odpocząwszy nieco, puściliśmy się w drogę, czyniąc ostatni wysiłek, aby się dostać do naszych stanowisk; trzeba jeszcze było godziny czasu, aby myśliwy, który miał najwyższy posterunek, dostał się do celu swego przeznaczenia.

Co się tyczy mnie, gdym się znalazł na swem stanowisku, ulokowałem się wygodnie wśród kupy wielkich głazów kamiennych; miałem jeszcze trzy kwadranse czasu na spożycie zakąski, lekkiej wprawdzie, ale bardzo pożądanej, i na rozejrzenie się wkoło siebie, zanim umówiony strzał, podobny do grzmotu i powtórzony przez echo z jednej góry do drugiej, nie da znać, że się polowanie zaczęło. Teatrem tych łowów było olbrzymie, koliste zagłębienie, czyli rodzaj naturalnego amfiteatru, wielka pustynia, usiana głazami kamiennymi wszelkich wielkości i najrozmaitszych kształtów, otoczona z trzech stron stromemi skałami, pełnemi grozy i uroku.

Na lewo odemnie, na grzbiecie ostrym, jak klinga noża, znajdował się myśliwy, najbardziej odemnie odległy; co się tycze mnie, to znajdowałem się najniżej ze wszystkich, a przestrzeń, która nas dzieliła, była chroniona przez trzech innych strzelców.

Na prawo odemnie góra spuszczała się raptownie aż do samej doliny: była to droga, którędyśmy przyszli, a broniło jej dwóch *abwehrer*, to jest ludzi, którzy jedynie mieli za zadanie zawracać zwierzęta, pragnące wynieść się tą stroną. Przesmyk ten był nadto obstawiony flagami (straszakami), zrobionemi ze szmat najrozmaitszych, jaskrawych kolorów, przywiązanemi do długich sznurów, które podtrzymywały tyczki, ulokowane w szparach skały.

Obławnicy wyruszyli z chaty jeszcze na długo przed wschodem słońca, robiąc olbrzymi obchód, ażeby napędzić kozice z gór sąsiednich; następnie winni byli wspiąć się po stoku naszej góry, pędząc zwierzynę ku nam; komu szczęście posłuży, ten będzie strzelał.

Wkrótce dzięki doskonałej lornecie morskiej, mogłem odróżnić na przeciwległym skłonie dwa lub trzy niewielkie stada kozic, które posuwały się podejrzliwie, jakby przeczuwając grożące im niebezpieczeństwo.

Strzał, dany jako sygnał, zabrzmiał naraz, powtórzony echem do nieskończoności od góry do góry, aż póki nie zamarł w oddali, hucząc, niby grzmot oddalony.

Kozice, przestraszone tym pierwszym hukiem, którego groźne znaczenie rozumiały bez wątpienia, podniosły głowy; następnie każde stado wybrało kierunek swej ucieczki, ustawiając się w szyku indyjskim po za swoim wodzem. Takim szefem stada jest zawsze stara koza, gdy zwykle wszystkie samce ze stada, stanowią ariergardę i zamykają pochód.

Zwykle strzela się tylko samce, lecz nie jest rzeczą łatwą rozróżnić kozła od kozy, gdyż obie płcie mają rogi. U samca jednak rogi są grubsze u nasady i krzywizna ich jest bardziej wybitna.

Powietrze było tak czyste i spokojne, że mimo wiorstowej odległości, jaka mnie dzieliła od przeciwległego skłonu, usłyszałem szelest spadających pod nogami kozic, kamieni, poczem spostrzegłem same zwierzęta. Jedno za drugiem pięły się one ku grzbietowi góry, i mogłem naliczyć dwadzieścia pięć małych, czarnych punkcików, które oddalały się w kierunku urwistego brzegu skały. Od czasu do czasu zatrzymywały się przez kilka sekund, nasłuchując i badając okolicę; potem już tylko z trudnością mogłem śledzić ich ruchy przy pomocy swej lornety. Tymczasem pojawiły się jeszcze dwa inne niewielkie stadka, które wolniutko, prawie nieznacznie, ale stale zbliżały się do linii strzelców. Jedno z nich posuwało się po długiej i wązkiej platformie na prawo od mego stanowiska. Gołem okiem niepodobna było ich prawie dojrzeć, gdy się zatrzymywały dla przesłuchów, ale przy pomocy swej potężnej lornety mogłem nawet rozeznać, że para, która szła przodem, była to koza z koźlęciem.

Nieznacznie zbliżały się one do miejsca, gdzie się znajdował myśliwy, najbardziej odemnie oddalony.

Nagle z pomiędzy skał ukazał się maleńki obłok dymu; ostatni czarny punkcik upadł i zaczął staczać się po ostrym spadku góry. Następnie, zanim jeszcze odgłos strzału doszedł do moich uszu, spostrzegłem drugi obłoczek dymu i druga kozica potoczyła się za pierwszą.

Był już jednak wielki czas zająć się tem, co się działo w mem najbliższem sąsiedztwie. Pojedyncza sztuka, zatrzymując się często, zbliżała się powoli do grupy głazów kamiennych, za którymi byłem ukryty, z sercem, silnie bijącem ze wzruszenia. Wielkość zwięrzęcia, jak również długość i ciemny kolor sierci, pozwalały mi przypuszczać, że mam przed sobą sztukę, którą krajowcy nazywają *„capital Böcke“* (gruby samiec); przy pomocy lornetki przekonałem się, że miałem racyę.

Chwilami znikał mi on z oczu, na kilka sekund; poczem zaraz ukazywał się, jak czatownik, na jakiej wystającej skale lub na samotnie wznoszącym się głazie. Pozostawało mu już tylko przebyć niewielką przestrzeń, gdzie grunt zagłębiał się nieco, aby się znaleźć na odległość mego sztucera; skierowałem więc lufy swej broni ku temu miejscu, gdziem się spodziewał, że wytknie.

Upłynęła minuta, potem druga, a wtedy spostrzegłem małą, białą główkę wynurzającą się z poza olbrzymiego głazu skalistego, aż wreszcie cały zwierz zarysował się ciemną plamą na jasnem tle nieba. Dzieliła go jeszcze odległość jakich 150 metrów, a mimo to padł martwy, bez ruchu, od mego pierwszego strzału. Zaraz potem koza z koźlęciem przeszły tak blizko odemnie, że mógłbym je uderzyć swą kociubą, nie ruszając się z miejsca. Koźlę szło spokojnie i bez znaków zmęczenia; natomiast otwarty pysk i falujące płuca matki wskazywały, że szła ona zdaleka w pewnym pędzie...

Ma się rozumieć, puściłem je w spokoju, gdyż umówionem było, że będziemy strzelali tylko kozły lub kozy jałowe.

Wkrótce potem znów miałem okazyę strzelania. Kozioł, pozbawiony swego towarzysza, czy swej towarzyszki, dzięki celnemu strzałowi myśliwego, stojącego nademną, pędził w dół skłonem góry, z szybkością piłki gumowej przy grze w palanta. Trudno jest wyobrazić sobie szybkość ucieczki i lekkość kozicy, gdy się nie widziało którego z tych zwierząt spłoszonych i pędzonych.

Ledwiem spostrzegł tę sztukę, a już znajdowała się ona poza donośnością strzału. Ale strzał dany w powietrze przez jednego z *abwehrer'ów* i poruszenia straszaków od prądu powietrza, skłoniły ją do zmiany kierunku; zwróciła też ku memu stanowisku.

Strzelić kozicę, gdy pędzi i skacze pośród skał i głazów, nie jest rzeczą łatwą; więc chociaż zwierz ten był wszystkiego na jakie 50 metrów odemnie, wpakowałem mu pierwszą kulę zanadto ku przodowi, a drugą chybiłem kompletnie.

Szybko zmieniłem ładunki w nadziei nowej sposobności do strzału, gdym spostrzegł, że moja kozica zrobiwszy jakie 250 metrów, zatrzymuje się. Stała ona wtedy tyłem do mnie, lecz prawdopodobnie dzięki szczęśliwemu trafowi, moja trzecia kula przeszła na wylot, kładąc zwierza na miejscu.

W tym dniu była to moja ostatnia ofiara, gdyż żadna inna sztuka już nie przeszła koło mnie na odległość strzału, a przynajmniej w warunkach jako tako sprzyjających.

Dziewięć kozic leżało dnia tego na rozkładzie, co uważać można za rezultat bardzo zadowalniający.

Nie należy jednak sądzić, aby ilość zabitych sztuk czyniła z polowania na kozice taki sport cudowny. Jest to raczej ten widok nieporównany, jakim się cieszy myśliwy; to powietrze czyste i wzmacniające, które napełnia nasze płuca, które, zdaje się, naprawdę wraca młodości starcom, a siły osłabionym; to jest to nieuchwytne i urocze przejście z nocy do świtu i do dnia; to jest ta czystość nieba i atmosfery; to jest nadewszystko to obcowanie z dzielnemi, prawemi i odważnemi dziećmi gór, wiernymi, tęgimi Tyrolczykami, o których śmiało można powiedzieć: „że poznać ich, to pokochać ich“.

Gawędy starego myśliwego.

XI.

W czasie pobytu mego na Syberyi przeznaczono mi na mieszkanie wielką, kościelną wieś Sołgun położoną w południowej części gubernii Jenisejskiej i wsród gór Ałtajskich. Ogromna wieś ta, składająca się z trzystu kilkudziesięciu osad włościańskich, rozłożyła się w obszernej dolinie, z trzech stron oto-

czonej wysokiemi górami i poprzerzynanej kilkoma większymi strumieniami. Sama zaś dolina przedstawia widok wielce malowniczy, podobny z położenia i bujnej wegetacyi do owych prześlicznych i licznych miejscowości, we wschodnim Tyrolu, które należą niewątpliwie do najpiękniejszych w Europie. Tylko w Tyrolu bogactwo natury łączy się z wysoką kulturą i bogactwem umiejętnej pracy ludzkiej, w Syberyi zaś ani tej kultury, ani też umiejętnej pracy ludzkiej nie widać, chociaż sama już natura daje tym ludziom więcej niż obfite środki do zdobycia zamożności i dobrobytu.

Góry Ałtajskie pokryte są przeważnie odwiecznymi, modrzewiowymi lasami, stanowiącymi w połączeniu ogromne i wprost nieznane u nas przestrzenie leśne. Część doliny, zajętej przez wieś Sołgun, otaczają ze wschodu i północy znaczne wzgórza, a z południa pasmo gór wielkich, dochodzących niewątpliwie do jakichś 3.000 stóp wysokości. W samej zaś dolinie, oprócz niewielkiej ilości gruntów ornych, na stokach gór i w blizkości wsi położonych, mieszczą się olbrzymie i bujne pastwiska i łąki, przeplatane kępami różnego rodzaju krzewów i drzew brzeziny; zatrzymane przez młyny i groble potoki wodne tworzą liczne i obszerne przestrzenie błotne. To też wieś Sołgun i jej okolice przedstawiają prawdziwe Eldorado zwierzęce, w którem najwybredniejsze nawet wymagania myśliwego zaspokojone być mogą.

O pobycie i polowaniach swoich w Syberyi, napiszę może później, a teraz zaznaczam tylko, że żaden opis nie jest w możności uwydatnić owej, wprost nieobliczonej ilości wszelkiego rodzaju błotnego ptactwa, zajęcy, cietrzewi, przepiórek, że tego, ogłuszającego aż, śpiewu ptactwa, jaki rozlega się tam, wśród ciszy rannej i wieczornej, zapomnieć niepodobna, i chyba tylko w krajach podzwrotnikowych spotkać się z nim można. A śpiew ten przemawiał do serca i duszy, koił tęsknotę i zarazem pocieszał, bo z tym śpiewem, biegnącym, jak się zdawało, aż w strony rodzinne, słało się tam gorące pozdrowienie i uczucia miłości.

Ciężkie to były czasy zdala od żony, dzieci, przyjaciół i ojczystego kraju, a jednakże pozostał w nich silny urok owej, pięknej tam natury i rozkoszy myśliwskich, pozostało wreszcie i wspomnienie przyjaźni dla dobrych, tamtejszych mieszkańców, którzy wszyscy otaczali mnie szczerą sympatyą i życzliwością.

Wśród pasma gór większych, zamykających dolinę ze strony południowej, i w odległości dziesięciu wiorst od wsi Sołgun, królowała z nich jedna najwyższa, której wierzchołek ginął często wśród obłoków, i z której czarujący prawdopodobnie widok nie dawał mi spokoju. Postanowiłem się tam dostać. Wybrałem dzień jasny i pogodny, a idąc za radą i przestrogą mieszkańców miejscowych, wziąłem z sobą dubeltówkę, naboje z kulami i oprócz furmana, dwóch jeszcze przewodników, uzbrojonych w topory.

Całe pasmo gór, ich stoki i wszystkie pomiędzy górami zagłębienia pokryte były dziewiczym, modrzewiowym lasem, bez dróg i możebnych do przejazdu ścieżek, wypadło więc pozostawić furmankę na brzegu lasu, u spodu zwiedzić się mającej góry, i w towarzystwie przewodników ruszyć piechotą dalej. Wejście na górę było łagodne i utrudniały je tylko poprzewracane i gnijące pnie i gałęzie drzew starych; gdzieniegdzie natrafiliśmy jednakże na niewielkie polanki, na którzch można było odpocząć, ujrzeć słońce i rzucić okiem na dolinę. W ten sposób dotarliśmy już do większej połowy góry, kiedy, wchodząc na jedną z polanek, przewodnicy moi, postępujący przedemną, spostrzegli małego niedźwiadka, widocznie bawiącego, czy też wygrzewającego się na słońcu. Rzucili się więc ku niemu, ażeby pochwycić go lub zabić. Ale jednocześnie podniosła się i niedźwiedzica z poza pnia i gałęzi leżącego drzewa, i napadniętemu niedźwiadkowi pośpieszyła z pomocą. Wszystko to stało się w jednej chwili. Silny pomruk niedźwiedzicy pobudził mnie do baczności; szybko odwiodłem kurki broni, spostrzegłem niedźwiedzicę, zwróconą do mnie bokiem, i zaledwie zdążyła uczynić kilka skoków, strzeliłem. Ryknęła, skręciła się na miejscu, jakby padając, ale podniosła się natychmiast i skierowała się ku mnie. Strzeliłem z drugiej lufy, z odległości pięciu kroków, i strzeliłem dobrze. Zachwiała się, ale nie upadła, i niewątpliwie byłaby mnie pochwyciła w swoje objęcia, gdyby nie zapobiegła temu przytomność i odwaga moich przewodników. Pospieszyli z pomocą, a jeden z nich, podbiegłszy z tyłu, silnem uderzeniem topora rozciął niedźwiedzicy łeb prawie na dwie części. Padła przed mojemi nogami.

W popłochu tym młody niedźwiadek gdzieś nam zaginął; nie doszliśmy też i do wierzchołka góry, bo trzeba było zabrać zabitego niedźwiedzia, co kosztowało nas niemało pracy i trudu, ale z tryumfem zwycięzców wróciliśmy do domu. Honor też mój, jako strzelca, nie poniósł także szwanku, bo obydwa moje strzały okazały się celne i śmiertelne, chociaż bez topora, nie ratowałyby mi życia.

Kiedy już mowa o niedźwiedziach, to opowiem, zacni towarzysze, jeszcze jedno zdarzenie, którego naocznym byłem świadkiem. W gronie dobrych myśliwych znalazł się niejaki pan N., pewien jeszcze nowicyusz w sporcie myśliwskim, biorący czasem udział w większych naszych polowaniach dla towarzystwa i bigosu, ale spotkania się z niedźwiedziem lub dzikiem starannie unikał. Przezwyciężyła jednak miłość towarzystwa i namowy życzliwych przyjaciół; trzeba była im uledz, i na jednem z polowań na niedźwiedzia stanąć do apelu.

Zajęliśmy stanowiska przez losowanie. Po lewej stronie stanął N., ów nowonabyty towarzysz. Las był gęsty i podszyty; drożyna, czy miedza, na której nas ustawiono, wązka i nieprosta, wskazano nam więc tylko kierunek linii strzelców, ale nie mogliśmy się widzieć.

Po niejakim czasie dał się słyszeć strzał, jako sygnał umówiony, potem usłyszeliśmy głosy naganki rozstawionej naokoło eksploatowanego ostępu leśnego, niedźwiedź był ruszony, i naturalnie, z gorączkowem oczekiwaniem przygotowaliśmy się do strzału.

W oczekiwaniu takiem upłynęło jakieś pół godziny. Na lewej odemnie stronie padł strzał i rozległ się jednocześnie pomruk niedźwiedzia. Widocznie strzelił mój sąsiad N. W obawie jakiegoś wypadku, poskoczyłem w tamtą stronę i zdala już ujrzałem swego sąsiada, leżącego na śniegu. Zaniepokojony i strzelec dalszy śpieszył też z pomocą, tak, że jednocześnie znaleźliśny się około N., który leżał rozciągnięty twarzą i piersiami do ziemi, z zadartą do góry, tylną częścią kożucha i ze spuszczonem do kostek, wierzchniem i spodniem ubraniem, sporządzonem z czterech łokci sukna i takiej ilości płótna.

Za zbliżeniem się naszem, N. podniósł się szybko z uśmiechem na twarzy, sięgnął ręką po spuszczone ku ziemi odzienie i szybko zaczął je podnosić. Tragiczny wypadek, jak nam się poprzednio zdawało, zamienił się w wypadek wielce zabawny, a chwilowy nasz przestrach skończył się, naturalnie, homerycznym śmiechem.

Zaspokojenie naturalnej potrzeby odwlec się nie dawało, po przedwstępnych więc przygotowaniach z odzieżą, N. położył broń około siebie i zajął odpowiednią pozycyę. Podczas tak zajętej pozycyi, niespodziewanie wyszedł na niego niedźwiedź. Bezwiednie, jak się sam przyznał, N. chwycił za broń i wystrzelił, a przypominając sobie, że niedźwiedź, jak słyszał, nigdy nie atakuje nieżywych, rozciągnął się na ziemi i oddech wstrzymał, udając umarłego.

Na szczęście dla N., niedźwiedź ten do odważniejszych nie należał; przestraszony strzałem, raźno pomknął za linią strzelców; a nieudane polowanie tę tylko miało zaletę, że zakończyło się przeważnie wesołością i śmiechem.

L. Łasecz.

Polowanie na kszyki na Kaukazie.

Przeczytawszy w Nr. 17 „Łowca Polskiego" artykuł p. t. „Polowanie na kszyki w Górnej Birmanii", powziąłem myśl skreślenia kilku słów o tych ptakach na Kaukazie.

Słusznie autor wspomnianego artykułu wzmiankuje, że ilość kszyków w całej prawie Europie stopniowo się zmniejsza; wątpię jednak, by można było powiedzieć to i o Kaukazie, gdzie owych długodziobów, jak przed laty kilkunastu (gdy często polowałem na nich w okolicach Ah-daszu), tak również i teraz mamy poddostatkiem, szczególniej zaś jest ich dużo w Elizawetpolskiej, Bakińskiej i Erywańskiej guberniach.

Ptaki owe nie wylęgają się na Kaukazie, a przylatują z zachodu i północy jesienią i pozostają tu do wiosny, przeważnie w dolinach Kuzy, Araksu, Bionu i innych rzek.

Spotyka się tu, jak i w Azyi, kilka gatunków bekasów, a mianowicie: kszyk zwyczajny, ostropióry, duży kszyk, przypominający dubelta, i maleńki, t. zw. ficlauz, do którego strzał jest najłatwiejszy.

Krajowcy tutejsi do kszyków nie strzelają, gdyż żałują naboi na taki drobiazg, a i wśród inteligentnych myśliwych spotykałem takich, którzy unikają tego rodzaju polowania, z powodu trudnego strzału i uciążliwego chodzenia po bekasich terenach.

Zapewne dlatego też kszyków zawsze mamy dostatek, a pomimo tego w handlu nie spotyka się ich wcale.

Ulubione przez kszyki miejsca — to plantacye ryżu, który cały czas rośnie w wodzie, nisko położone łąki i pastwiska, oraz bagna z żółtawem, na kształt rdzy, błotem.

Po sprzątnięciu ryżu zostają mokre ścierniska,— doskonałe żerowiska dla kszyków i kaczek; łąki zaś i pastwiska, zalane w nizinaah wodą i porośnięte oczeretem, a w nieco wyżej położonych miejscach pokryte niebieskim irysem, oraz innemi, wodnemi zielskami i trawami, stanowią wyborne schronisko dla tych ptaków.

Jeżeli nadmienię jeszcze, że w wyżej opisanych miejscach woda przez całą zimę nie zamarza, to zrozumiałem będzie, dlaczego całe legiony owych długodziobów zbierają się tutaj na zimowisko.

Wielu z myśliwych poluje tutaj na kszyki bez psa, gdyż i tak podrywa się ich zbyt wiele; wyżeł właściwie więcej potrzebny jest do aportowania ubitych ptaków, niż do wyszukiwania i wystawiania.

Prócz tego, kszyk jest zbyt płochliwy, wskutek czego nawet dobry pies może nieraz go spłoszyć, zanim go wystawi i myśliwy podejdzie na strzał, a nawoływanie daleko odbiegającego psa zwykle pociąga za sobą zrywanie się na dalekiej odległości wielu bekasów, oraz kaczek.

Bierzemy więc nieraz z sobą chłopca-krajowca, który z wielką przyjemnością zastępuje najlepszego wyżła w wyszukiwaniu i podnoszeniu ubitej zwierzyny.

Szczególniej potrzebny jest taki pomocnik, gdy spadnie śnieg, który tu prędko, bo po paru dniach, topnieje.

Ponowa, co zapewne zawdzięczam wspomnieniom z lat młodzieńczych, gdy polowałem w rodzinnym kraju, wywiera na mnie dziwnie czarujące wrażenie; usiedzieć w domu za nic wtedy nie mogę, wiec, jeżeli tylko mam czas wolny, biorę strzelbę i wyruszam w pole.

A ponieważ na grubego zwierza nie zawsze uda się zebrać kompanię, szaraków i bez ponowy mamy wciąż do strzelania aż za dużo, a turaczy strzelać na śniegu, to podług mnie, barbarzyństwo, bo, nie mogąc wtedy podrywać się do lotu, dają się bić kijami, więc nieraz, gdy śnieg spadnie, wybieram się na wodne ptactwo.

Wtedy w bagnach i innych miejscach, zalanych wodą, śnieg topnieje i wskutek tego wszelkie wodne i błotne ptactwo ściąga do takich miejsc, przypominających t. zw. oparzeliska. Myśliwi zaś chodzą po brzegu i biją masę bekasów, które zwykle spadają pod pulchny śnieg, leżący na trawie i zielskach, więc trzeba bardzo pilnie śledzić, gdzie spadły, by nie zgubić ubitej zwierzyny; wtedy to chłopiec-krajowiec jest użyteczny, gdyż zaraz po strzale biegnie i podnosi ubitego ptaka.

Niektórzy myśliwi chodzą wtedy obok irygacyjnych kanałów, w których żerują kaczki, a po brzegach siedzą kszyki i różne odmiany kuligów.

Ptactwo owe, z powodu szmeru szybko płynącej wody, nie słyszy zbliżenia się- myśliwego i nie widzi go, zawdzięczając to wysokim brzegom rowów, więc polowanie takie zwykle bywa pomyślne.

W innej porze na wskazanych wyżej polach ryżowych, bagnach i mokrych pastwiskach spotykamy zwykle taką masę bekasów, że wystrzelić do nich w przeciągu dnia kilkadziesiąt, a nawet setkę naboi, nie jest zbyt trudno.

Zwykle po strzale zrywa się kilka, a często i kilkanaście bekasów, by, powirowawszy w powietrzu czas jakiś, zapaść znowu niezbyt daleko.

Zarośnięte oczeretem i krzakami łąki i bagna tutejsze, obfitują nietylko w bekasy, kaczki, gęsi i masę różnego innego, wodnego ptactwa, lecz i w zwierza, więc, polując w takich miejscach, czasem można mieć niespodziankę.

Nie chcąc być gołosłownym, przytoczę zdarzenie, jakie miał pewien krajowiec. Oto, polując na kaczki w oczeretach, w okolicach Ahdaszu, spotkał sporego odyńca, do którego wypalił kaczym śrótem; raniony dzik rzucił się na strzelca i powaliwszy go na ziemię, zaczął pastwić się nad nim, prując mu kłami brzuch i biodra. Na strzał i krzyk przybiegł wyżeł owego myśliwego i rzucił się na dzika, który popędził za psem i ciężko go poturbował, a raniony tatar przez ten czas przyczołgał się do leżącej o parę kroków, swej strzelby, i gdy wrócił odyniec, wypalił doń z lewej lufy, rażąc go śrótem w oczy.

Dzik, w śmiertelnych podrygach, runął na strzelca i przygniótł go swym ciężarem, a po kilku godzinach, na szczekanie i wycie wiernego psa, przyszli ludzie i wyciągnęli omdlałego strzelca z pod martwego odyńca.

Inny znajomy mój, polując na kuropatwy, niespodzianie ułożył dżejrana (stepowa sarna), a w okolicach Lenkarania niespodzianie spotkać można barsa lub nawet tygrysa, polując na ptactwo.

Wracając do obranego tematu, dodam, że tutejsi myśliwi do kszyka strzelają przeważnie zaraz po zerwaniu się tego ptaka, zanim zacznie robić zygzaki. Co się zaś tyczy celności strzałów, to różnie bywa,—sądzę, że przeciętny myśliwy daje do bekasów 30—40% strzałów pomyślnych, znam jednak takich, którzy strzelają znacznie lepiej.

Kazimierz Pruski.

Elisawetpol, we wrześniu.

Szkoła strzelania w Anglii.

W poprzednim numerze pisma naszego p. *J. Z.* w korespondencyi swej opisał strzelnicę w Zoppotach. Jako *pendant* do powyższej pracy, podajemy sprawozdanie Edmunda Béjot'a, prezesa Paryskiego Centralnego Towarzystwa myśliwskiego, z wizyty, jaką odbył w Colnbrook Park pod Londynem, gdzie mieści się słynna szkoła strzelania. Ciekawe szczegóły, zawarte w tym opisie, zainteresować mogą niejednego z naszych myśliwych i dlatego przytaczamy je w całości.

„Nie będąc ani anglomanem, ani anglofobem, — mówi p. Béjot—należy jednak przyznać, że u naszych sąsiadów zmysł praktyczny doszedł do wysokiego stopnia doskonałości, wywołując w każdym, kto tylko zwiedzał Anglię, niekłamany podziw.

Jako stary strzelec i stary myśliwy, zdarzało mi się nieraz słyszeć o tych szkołach strzelania, gdzie naśladowcy Walsingham'ów i Grey'ów *) drogą doświadczenia dochodzą do zdobycia sposobów, praktykowanych przez wielkich mistrzów.

Pragnąc się o tem przekonać osobiście, wsiadłem pewnego razu do pociągu i przybyłem do Londynu, gdzie udałem się na Bond-Street do znanych puszkarzy Cogswell and Harrisson. Moja karta Towarzystwa strzelania do gołębi w lasku Bulońskim i medal Towarzystwa „Fusil et Chasse" były dla mnie prawdziwym „Sezamie otwórz się". Park w Colnbrook, świeżo otwarty po zamknięciu znanej szkoły Blackdone, stał się dla mnie przystępnym. W czterdzieści minut koleją żelazną przybywam na miejsce. Wkrótce staję w domu, urządzonym bardzo pierwotnie pod względem zewnętrznym, ale nadzwyczaj starannie z punktu widzenia sportowego. „Manager" zakładu przyjmuje mnie jaknajgrzeczniej i proponuje przechadzkę.

— Mamy tu urządzone wszelkie rodzaje polowania. Czy pan chcesz przestudyować który z nich, czy też zwiedzić wszystko?

— Chciałbym nadewszystko zwiedzić, aby zdać sobie sprawę. Czy masz pan jaką] broń, abym mógł z niej strzelać?

Natychmiast podano mi broń z osadą członkowaną. Wówczas „manager" bierze pomiary mej ręki, poczem reguluje osadę. Znalazłszy niezbędną krzywiznę i odchylenie, podaje mi broń zupełnie dla mnie dostosowaną, i ruszamy.

Najprzód widzimy wielki mur, rodzaj olbrzymiej tarczy, mierzącej około 25 m. długości i 5 do 6 wysokości. W połowie długości znajduje się w ziemi rodzaj skrytki, w której się chowa „puller" (puszczający gołębie). Na początek dwa gipsowe gołębie wylatują ze skrytki i pędzą w dwóch przeciwnych kierunkach po drucie poziomym; oczywiście można zrobić dubleta, lub strzelać tylko jednego, stosownie do życzenia. Ptaki są pokryte czarną farbą, dzięki czemu śróciny odznaczają się łatwo na czarnem tle, odrywając kawałki gipsu. Można więc doskonale sprawdzić, o ile strzał był dokładny.

Obok, na tym samym murze znajduje się inny system ptaków, podobnie jak i tamte — gipsowych, które, wylatując z pod ziemi, wznoszą się prosto ku górze, co daje możność studyowania strzałów pionowych.

— Strzał poziomo-pionowy (skośny) jest prawdziwą szkołą nowicyuszów.

Ten sposób studyowania stoi pod każdym względem wyżej, aniżeli system, praktykowany we Francyi przez hr. Goubeux w Ablon.

Dzięki tej ścianie, mogłem sam wyregulować swą strzelbę członkowaną, a wtedy, na propozycyę „manugera" udałem się na miejsce do polowania z psem legawym, „cover" — Anglików.

Idąc małą ścieżką, posuwam się naprzód wśród krzaków, jak gdyby polując naprawdę. W pewnej odległości za mną idzie zręczny pomocnik, który pociąga ukryte druty; i w miarę, jak się posuwam, wylatują z krzaków we wszystkich kierunkach ptaki gliniane *(bal trapps)*. Czasem jest to niby spłoszona kuropatwa, która zrywa się zdaleka; to znów zrywają się na prawo i na lewo w sposób najbardziej niespodziewany, zarówno pod względem chwili zerwania się, jak i kierunku lotu. Dbałość o złudzenie jest do tego stopnia doskonała, że niekiedy wylatują dwa ptaki razem, to znów trzy, pięć lub sześć, imitując stado kuropatw.

Cała przestrzeń „cover'u" jest obliczona na jakie pięćdziesiąt strzałów.

Chociaż to pole strzelania jest w samej rzeczy zupełnie dla mnie nowe i nadzwyczaj interesujące, mój grzeczny „manager" nie daje za wygraną.

Zaprowadził mnie jeszcze do rodzaju żywopłotu dość wysokiego, i umieściwszy mnie odeń w odległości jakich 20 metrów, dał mi sposobność strzelania ptaków glinianych, lecących na mnie, jakgdyby podczas naganki na kuropatwy. Następnie umieścił mnie pomiędzy dwoma takimi żywopłotami i znów miałem okazyę bardzo trudnego strzelania.

Ażeby urozmaicić próby, zaproponował mi strzelanie do królików. Umieścił mnie w tym celu na łączce w odległości 20 metrów od końca żywopłotu. Wkrótce na ścieżce pojawiają się krążki asfaltowe, umiejętnie rzucone, i mające naśladować królłki; najprzód jeden, potem dwa, potem trzy.

Wówczas przechodzimy do bażantów,

Jest tam rodzaj wieży, wysokości około 20 metrów, na której wierzchołku są ustawione maszyny do rzucania glinianych ptaków w najrozmaitszych kierunkach. Wieża ta, zbudowana pośród starych buków, daje rzeczywiście złudzenie naganki na bażanty w wysokim lesie.

Sądziłem, że na tem będzie koniec, gdy oto zaprowadzono mnie na stanowisko niby wycięte ze wzgórzystych okolic Szkocyi. W odległości jakich 60 metrów tarcza żelazna chroni puller'a. Kolejno lecą na mnie, tuż po nad ziemią, z niezwykłą szybkością najprzód jeden, a potem liczne grousy (pardwy szkockie).

Ta szybkość ptaków, lecących nizko wprost na nas, pozwala studyować nowy zupełnie rodzaj strzałów, nieznany u nas zupełnie. Jest to prawdziwy „moor" z wszystkiemi swemi niespodziankami i całym urokiem swoim.

Wystrzeliłem ogółem 150 ładunków.

Wróciłem do domu, zachwycony całem tem urządzeniem racyonalnem, praktycznem i pojętem z niezwykłym zmysłem. Zdaje się, że ten park-szkoła uosabia cały ten zmysł praktyczny Anglików, który oni stosują we wszystkiem, nawet w sporcie".

*) Dwaj najsłynniejsi strzelcy angielscy. *(Przyp. Red.)*.

POLOWANIA ESKIMOSÓW.

(Z opisów podróżnika Astrupa).

Zima jest dla Eskimosów miłym, pożądanym gościem. Zaczyna się pora polowania na foki, odkąd lód dosyć jest mocny. Na brzegu stoi młoda żona Eskimosa, uśmiechając się na myśl odmiany, a mianowicie zamiast uprzykrzonego już mięsa alk i narwali, świeże pieczyste z foki.

Krajowiec przezornie próbuje mocy lodu oszczepem, zanim puści się po jego zwierciadlanej tafli. Postać jego maleje coraz bardziej, aż znika nareszcie za kra-

wędzią góry lodowej. Trzy wierne psy, przypatrujące się z nastawionemi uszami swojemu panu, uważają to za niewłaściwy żart. Targają niecierpliwie długim rzemieniem, wiążącym je do skały, i wyją żałośnie. Przecież lód dość mocny, a pan je zostawił, zapomniawszy, jak one lubią ciągnąć sanki po gładkiej równinie. Nie, to zawiele! Wyją coraz żałośniej, aż gospodyni, podszedłszy, porządnie je wykropiła. Milkną więc i układają się tymczasem do snu.

A w dali, między lodowcami, biegnie wciąż człowiek zatrzymując się chwilami, jakby czegoś upatrywał. W prawej ręce trzyma umocowany na rzemieniu dziryt, przez ramię ma przewieszony, trójnożny stołek, bardzo kunsztownie z kawałeczków drzewa sporządzony. W lewej ręce niesie kawałek skóry niedźwiedziej, a na plecach skórzaną torbę, w niej mocno zużyty nóż myśliwski w kościanej oprawie.

Zatrzymuje się nagle i schyla. Uwagę jego ściągnął otworek w lodzie, zaledwie 5 cm. średnicy. Jestto jeden z otworów, pozostawionych przez foki dla nabierania oddechu.

Kładzie przezornie skórkę niedźwiedzią tuż przy otworze, stawia na niej stołek, siada i czeka na ukazanie się foki. Ponieważ jednak każda foka robi dla siebie kilka takich otworów, wypadnie więc czasem dość długo czekać. Upływa godzina za godziną, nim w otworze ukażą się nozdrza zwierzęcia. Teraz trzeba dobrze wymierzyć, aby nie chybić, gdyż nietrafiona odrazu, foka nieprędko wróci w to samo miejsce, i myśliwemu nie pozostaje wtedy nic innego, jak zacząć czaty w innem miejscu.

Jeżeli trafił, powstają znowu trudności wydobycia ofiary. Trzeba z błyskawiczną szybkością powiększyć otwór za pomocą noża myśliwskiego. Wyciągnięte zwierzę trzeba dobić i rany starannie pozszywać igłą kościaną, aby nie stracić upływającej krwi. Zadowolony Eskimos wraca nareszcie do domu po sanie i psy, aby zabrać fokę. Odwiązuje swoich ulubieńców przy rozdzierającem uszy skomleniu, a one, nie czekając na zaprzągnięcie porządne, pędzą z sankami, uczepionemi tylko, na wybrzeże.

Eskimos wstrzymał nareszcie rozpędzone psy, przyprowadził do porządku zaprząg. Teraz wprawną dłonią ujmuje rękojeść bata o długim na 5 metrów rzemieniu, wskakuje na sanie i puszcza się galopem po ślizkiej równinie. Nie potrzebuje dla swego ognistego zaprzęgu, cugli, bat zupełnie mu wystarcza. Przy uderzeniu batem w lód z lewej strony psy zwracają się na prawo i naodwrót. Chcąc zachęcić psa do szybszego biegu, uderza go, ale tak, by nie zrządzić mu szkody. Oto są już przy zabitej foce i Eskimo składa ją na sanie. W powrotnej drodze zatrzymuje się jeszcze tu i owdzie, aby sprawdzić, czy pozostawione na lisy pułapki znajdują się w porządku. Są one zbudowane z równych, płaskich kamieni w czworobok, w ten sposób, że gdy lis wejdzie przez otwór i poruszy umocowany na rzemyku kawałek słoniny, duży, płaski kamień zapada na wejście. Tym sposobem Eskimo zdobywa sporo lisich skór, niezbyt zresztą trwałych, obracając je na użytek gospodarski.

Jeszcze w r. 1894 można było spotkać takie pułapki na niedźwiedzie. Obecnie Eskimo zabija swojego śmiertelnego wroga w szlachetniejszy sposób. Właściwe polowanie na białego niedźwiedzia odbywa się w południowej stronie przylądka York na zamarzłych wodach zatoki Melville. Tam, zdala od domu, na pustej równinie stoczył Eskimo niejeden bój zażarty ze strasznym zwierzem.

Jeżeli Eskimo poluje na renifery wczesną wiosną, gdy leżą jeszcze śniegi, bierze z sobą podeszwy ze skóry niedźwiedziej, które, przywiązane pod spodem obuwia, ułatwiają chód.

W dostatecznie brudnym futerale, przewieszonym przez ramię, ma łuk, a strzały w oddzielnej torebce. Prócz tego wisi mu na ramieniu nieodstępny w polowaniu nóż myśliwski. Łuk składa się zwykle z powiązanych trzech żeber reniferowych, naciągniętych jeszcze dla większej sprężystości licznemi ścięgnami narwala. Długość łuku wynosi zwykle 80 cm.

Oprawa strzały jest drewniana, rzadziej kościana. Jeden koniec zawsze kościany, a na tym dopiero zatknięte ostrze żelazne; długość strzały dochodzi 50 do 60 cm.

Gdy Eskimo dojrzy sokolim swym wzrokiem renifera, zaczyna się posuwać niezmiernie ostrożnie, aby nie zostać przezeń dostrzeżonym. Tu wybornie się przydaje wrodzona krajowcom wytrwałość i niewyczerpana cierpliwość. W tej krainie czas nie jest pieniądzem i człowiek nie cofa się wobec żadnej przeciwności. Ściga nieraz zwierzęta noc całą lub wyczekuje długie godziny, zanim zdoła podejść zdobycz. Jeżeli uda się zabić więcej sztuk, a niema nikogo do pomocy, wtedy część musi pozostawić. Nakrywa mięso dużymi kamieniami, aby ochronić go przed lisami, zabiera tylko skórę i żołądek, wraz z wielce cenioną przezeń zawartością i podąża do domu, czekając sposobności na przeniesienie reszty.

Jeżeli miejsce zbierania się reniferów jest tego rodzaju, że niepodobna podejść ich nieznacznie, to Eskimo stara się tam stanąć, zanim nadejdą, a zgromadziwszy stos kamieni, ukrywa się za nim i wyczekuje długie godziny.

Jeden z Eskimosów, Kaszu, upolował raz szczególnym trafem renifera w jesieni. Zwierzę stało właśnie pod wiatr, a że skórzaną odzież Eskimów zwykle czuć zdaleka i ostrożne zwierzęta, zwietrzywszy ją, natychmiast uciekają, Kaszu wpadł na oryginalny pomysł. Zrzucił odzienie i w stroju adamowym, podszedł, krążąc ostrożnie, tak blizko, że jednym rzutem strzały zabił renifera. Po tym wojennym wybiegu musiał, zsiniały całkiem, biedz szybko po odzież.

Zające łowią zwykle Eskimowie w sidła, powiązane w rzemienie, zastawiając je w rozpadlinach górskich. Dopiero w ostatnich czasach i tu myśliwi zaczęli posługiwać się bronią palną. Jedynie pardwy są oszczędzane. Ponieważ mięso ich jest bardzo smaczne, wstr emięźliwość tę Eskimów należy przypisać jakiemuś przesądowi. Z ptactwa morskiego poszukiwane są między innemi alki, mające duże zastosowanie w gospodarswie domowem krajowców. Łowią je zwykle w siatkę, osadzoną na długiej tyce.

Całe rodziny prowadzą latem to polowanie, zamieszkując tymczasowe namioty. Zważywszy, że ptactwo gnieździ się na urwistych stokach, wybieranie ich jaj połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem. Zwykle jeden człowiek opuszcza się na linie, zależąc jedynie od siły pojedynczego towarzysza, który go w górze podtrzymuje. Jeżeli siła ta zawiedzie, śmiałek wpada w przepaść i rozbija się na bezkształtną masę. Przy łatwiejszych nawet wyprawach łamie czasem rękę lub nogę i zawlec się musi do domu, gdzie „znający" mężczyzni lub baby zarządzają amputacyę. Przygodny chirurg wykonywa taką operacyę pierwszym lepszym, zabrudzonym nożem i bandażuje ranę pasami tłustej, psiej skóry.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Powiat latyczowski (gub. podolska), *we wrześniu.*

Jesień nadeszła, cudna, polska jesień, przyobleczona w złoto i purpurę! Lasy przyoblekają nową szatę, a zwiędłe, żółte liście z cichym, żałosnym szumem lecą na ziemię, ażeby utworzyć u stóp rodzimego drzewa miękki, puszysty kobierzec. Bociany zebrały się w milionowe stado, wzbiły się pod niebiosa, zatoczyły szerokie kręgi, zawirowały, i rzuciwszy po raz ostatni okiem ku ojczystemu gniazdu, lecą w dal nieograniczoną ku tchnącym żarem piaskom Sahary.

Niebo jasne, błękitne, tonące w promieniach słonecznych, — cudne niebo! Płyną po niem uformowane w trójkąt stada żórawi-tułaczy, i głuchym, jękliwym odgłosem odezwie się niekiedy który, — on żegna swą ziemię rodzinną!...

Po zachodzie słońca nad onymi oczeretami, co to niby gwarzą, niby gadają między sobą, gromadzą się zbierające się do odlotu jaskółki i gonią się i wirują w przestworzu. A gdy mroku panowanie się pocznie i skupione drzewa przybierają kontury potwornych jakichś olbrzymów, wówczas ze swych dziupli i kryjówek wylatują lelki i z cichym szelestem latają dokoła, spadają, nakształt kamienia, ku ziemi, w pogoni za owadem, to znów zawisają w powietrzu, wzbiwszy się wysoko!

Jesień, cudna jesień! Po niezwykle brzydkiem lecie, da Bóg, długo trwać będzie. Niestety, zwierzyna nie dopisała w roku bieżącym, jak też i w poprzednim. Próżno zapalony myśliwy, ufny w powodzenie, wraz z wyżłem błąka się po ściernisku, — niewiele znajdzie przepiórek, a o kuropatwach to i mowy być nie może!

Brodziłem i po onych, na gubernię całą sławnych błotach derewańskich, barmackich i maśkowieckich, i z jakże marnym rezultatem. Kaczki ukrywają się w niedostępnych szuwarach, skąd wypłoszyć je na strzał niezmiernie trudno. Mamy ich tu dwa gatunki tylko: krzyżówki i cyranki. Zjawiają się, co prawda, na wiosnę i podgorzałki, ale te długo tu nie pozostają i potomstwa u nas nie wyprowadzają.

Dubelty pojawiają się z końcem sierpnia na większych błotach, ale ponieważ tylko kilka dni u nas pozostają, przeto trafić na ten czas akurat niezmiernie trudno. Żórawie się tu prawie nigdy nie zatrzymują, gęsi dzikie rzadko bardzo, czaple również, a dropia to powiat nasz jeszcze nie oglądał. Za to, dzięki opiece pp. obywateli, liczba zajęcy i kóz ogromnie wzrosła!

Zobór.

Listy do „Łowca Polskiego".

W kwietniu r. b. wracałem z nieudałego toku głuszców, bo z trzech zasadzonych — dwa nie grały wcale, a trzeci tak krótko, że nie zdążyłem go podejść; była siódma rano, jechałem wolno po rozmiękłej drodze, między dwoma bagienkami, leżącemi w polu o paręset kroków od drogi, gdy z przydrożnej sosny, do której się zbliżałem, zerwał się dosyć duży ptak, którego nie poznałem, gdy leciał odemnie; dopiero gdy zawrócił w stronę bagienka i leciał bokiem do mnie odwrócony, ku memu wielkiemu zdziwieniu przekonałem się, że była to kaczka-krzyżówka, po której też zaraz zerwał się z bagienka kaczor. Pierwszy raz widziałem kaczkę na drzewie, ciekaw jestem, czy komu z kolegów-myśliwych się to zdarzyło widzieć.

Waldemar Dernołowicz.

Jakkolwiek rzadko kiedy zdarza się widzieć kaczkę-krzyżówkę na drzewie, to jednak wypadek, obserwowany przez Szanownego Autora powyższej notatki, nie należy do wyjątkowych. Prawdopodobnie kaczka ta miała już obrane gniazdo, lub przynajmniej szykowała się do lężenia, gdyż krzyżówki dość często zajmują opuszczone gniazda wron lub ptaków drapieżnych.

Redakcya.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 18 września. Gubernator kielecki nadesłał wykaz broni, odebranej w 1906 r. przez straż ziemską w gub. kieleckiej kłusownikom. Wykaz ten obejmuje 304 sztuk broni myśliwskiej. Rada postanowiła przesłać na ręce p. gubernatora 152 rb. na nagrody dla strażników.

Departament rolnictwa zwrócił się do naszego Oddziału z żądaniem nadesłania kilku egzemplarzy sprawozdania z działalności Oddziału za rok zeszły.

Członek Towarzystwa opieki nad zwierzętami, p. Chrostowski, zwrócił się do Rady z przedstawieniem, że w sprawie tępienia kłusownictwa wyróżniają się rewirowy Dimitruk i wachmistrz żandarmeryi kolejowej st. Warszawa, Mewecan. Rada postanowiła obu przedstawionym funkcyonaryuszom miejscowej policyi wydać po 10 rb. nagrody, które to sumy prześle do właściwej władzy zwierzchniej rzeczonych funkcyonaryuszów.

Towarzystwo popierania hodowli psów rasowych myśliwskich przyznało żetony, wysłane przez nasz Oddział na wystawę, przez rzeczone Towarzystwo urządzoną, za psy następujące: złoty żeton p. Moratowowi za pointera „*Feri*" i srebrny emaliowany pp. W. i A. Małomom za settera angielskiego „*Robe de Blanche*". Żeton srebrny nie został przyznany nikomu i zachowano go na wystawę w 1908 r.

Warszawski gubernator donosi, że polecił wydać bezpłatny bilet na prawo utrzymywania broni Marcinowi Wittanek, stróżowi przy miejscu ochronnem w Gródku.

Posiedzenia Rady nadal odbywać się będą co tydzień we środę.

Posiedzenie Rady, 25 września. Hr. Żółtowski z Kocha prosi o przyśpieszenie wydania pozwoleń na broń przy miejscach ochronnych. Ponieważ Rada już przed miesiącem uczyniła odpowiednie przedstawienie, które dotychczas nie odniosło skutku, przeto postanowiono prosić p. gubernatora o przyśpieszenie rezolucyi.

Postanowiono zwołać Nadzwyczajne Ogólne Zebranie Członków Oddziału na dzień 30 października. Wnioski Członków przyjmowane będą do dnia 16 października. Na najbliższem posiedzeniu Rady uchwalony zostanie porządek dzienny tego Zebrania.

Z powodu śmierci intendenta naszego Towarzystwa, ś. p. Żłobickiego, który zmarł w d. 20 b. m., Rada postanowiła wyasygnować na koszta pogrzebu i wypłacić rodzinie 200 rb.

Drobiazgi myśliwskie.

Kłusownicy mordercami. Z Ostrowca piszą do „Kuryera Warszawskiego" pod dniem 20-ym września: „Wczoraj o godzinie 8 wieczorem napadnięto we wsi pobliskiej Paulinowie na gajowego Zygmunta hr. Wielopolskiego, W. Rządkowskiego, lat 48, i kilku kulami raniono go śmiertelnie. Zabójstwa tego dokonali „wolni strzelcy", mszcząc się za stawianie oporu przez R., co do ich samowolnego harcowania po polach hrabiowskich i tępienia zwierzyny.

Pies głodomór. Przed pięcioma tygodniami, jak pisze „Przegląd Poranny", jeden z oficyalistów restauracyi Renaissance w Warszawie, udał się do piwnicy po wino. Za nim niepostrzeżenie pobiegł mały pies, rasy „fox-terrier". W piwnicy pies się zabłąkał, a nie zwróciwszy uwagi oficyalisty, został tam zamknięty. Przez pięć tygodni piwnicy tej nie otwie-

rano. Dopiero wczoraj zaszła potrzeba zwiedzenia piwnicy. Gdy znaleziono się wewnątrz, ze zdumieniem spostrzeżono słaniającego się psa. Był to formalny szkielet, lecz żył. Przez pięć tygodni biedne stworzenie odżywiało się słomą, a pragnienie, wnosząc z rozbitych dwóch butelek, zaspakajało winem.

Ochrona kwiczołów. Policya regencyi lueneburskiej *(Lüneburg)* wydała rozkaz, pozwalający na łowienie kwiczołów w pułapki jedy ie od d. 5 do 31 października. Za przekroczenie tego przepisu grozi kara 150 marek.

Ogromne stada myszołowów widziano d 5 sierpnia przed południem w górach Siedmiogrodzkich. Trzy stada, liczące razem conajmniej 600 sztuk, unosiły się na wysokości 100 metrów, udając się z północy na południe.

Białe sarny. W jednym z rewirów myśliwskich nad rzeką Saalą Frankońską przebywają od kilku lat białe sarny. Dzierżawcy polowań ochraniają te wyjątkowe sztuki. Podczas rui widziano czerwonego kozła w pobliżu dwóch sarn białych.

Polowanie na orły. W kantonie szwajcarskim Unterwalden, dwóch myśliwych odkryło w górach gniazdo orła na wysokości 1,400 m. nad skałą przepaścistą. Zbliżywszy się ostrożnie, czekali w ukryciu na powrót orłów. Po pewnym czasie ukazała się samica z dwoma młodymi. Myśliwi dali ognia, raniąc wszystko troje. Młode jednak, jako lżej ranione, opuściły zaraz gniazdo. Została tylko matka, ciężko ranna. Jeden z myśliwych, uwiązany do sznura na 60 m. długiego, opuścił się do gniazda, gdzie zdołał nożem dobić orlicę. Bardzo utrudniony był powrót myśliwego z ciężarem łupu na grzbiecie. Gniazdo orle, jak opowiada myśliwy, przedstawiało istną śpiżarnię. Znajdowały się tam dwie gemzy nawpół zjedzone, resztki kozy, połowa świstaka i kości kilku zajęcy.

Plaga wróbla w Ameryce. Do roku 1851-go nigdzie w Ameryce wróbli nie było; dopiero w tym roku sprowadzono je z Anglii w nadziei, że wpłyną korzystnie na zmniejszenie się liczby owadów. Ale stało się inaczej. Wróbel, przeniesiony do Nowego Swiata, znalazł w nim odrazu nową i widocznie bardzo miłą ojczyznę, skoro w krótkim bardzo czasie nietylko rozmnożył się w niezliczone miliony, ale i znacznie się zmienił, bo stał się większym, tęższym i zuchwalszym. Dziś wróbel jest plagą i jednym z największych szkodników w Ameryce, którego się tępi, jak dotąd, bez najmniejszego skutku. Stany Michigan i Illinois wydał w latach 1887 do 1905 dolarów 117,000 na walkę z wróblami, ale nie osiągnęły żadnego skutku. Wróbel domowy w Ameryce ma 5 do 7 razy w roku potomstwo i jeżeli w Europie jest awanturnikiem, to w Ameryce stał się po prostu anarchistą, zajmując bez ceremonii gniazda innych ptaków, mianowicie jaskółek, które, jako słabsze, z wróblami walczyć nie mogą, lub rozbierają cudze gniazda, bez skrupułu, na własną potrzebę. Za jedyny sposób skutecznego tępienia wróbli uważają kompetentni systematyczne niszczenie im gniazd, ale czy wobec milionów tych ptaków w Ameryce postępowanie to doprowadzi do pożądanego celu, wątpić należy.

Litość u ptaków. Mało zapewne istnieje tematów, o których mówiono i pisano tak wiele, jak o inteligencyi ptaków. Obserwując je pilnie, zauważyć można mnóstwo faktów, które bezwarunkowo nietylko instynktu, lecz inteligencyi dowodzą. Bo wszak niepodobna instynktem jedynie tłómaczyć uczucia litości, tak silnie rozwiniętego u ptaków. Ornitologom dobrze znane są wypadki opieki, rozciągniętej przez jednego ptaka nad drugim, biednym i opuszczonym, chociażby ten do zupełnie innego gatunku należał. Następujący fakt, zaobserwowany niedawno w paryskim ogrodzie botanicznym, dowodzi jasno, że ptaki mogą posiadać bardzo wyraźne poczucie litości. W obszernej klatce, pomiędzy innymi ptakami, najdowały się dwie prześliczne samiczki z gatunku chińskich słowików. Żyły z sobą dość zgodnie, lecz bardzo obojętnie. Zdarzyło się jednak, że pewien stary „kardynał“, zamieszkujący w tejże klatce, poklócił się z jedną z chińskich samiczek, w walce wyrwał jej mnóstwo ślicznych piórek i wreszcie silnem uderzeniem dzioba złamał jedną nóżkę; nieszczęsna kaleka nie mogła się już utrzymać na grządce i drżąc boleśnie, wlokła się z trudem po dole klatki. Wówczas to jej towarzyszka, druga samiczka chińska, litując się nad niedolą swej rodaczki, co wieczór zlatywała ku niej, znosiła źdźbła słomy i trawki, aby kalece przyrządzić posłanie, następnie przez całą noc czuwała nad chorą, przykrywając ją własnem skrzydełkiem. Tak przeszedł cały tydzień, i ani razu ptaszyna nie zapomniała o chorej towarzyszce. Gdy jednakże wszelkie starania nie odniosły skutku i chora słowiczka skończyła życie, jej towarzyszka posmutniała, nie chciała jeść, przepędzała całe dnie, siedząc nieruchomo w kącie klatki, aż wreszcie znaleziono ją martwą.

W szponach tygrysa. Podróżnik i badacz francuski, margrabia Barthélemy, jest także nieustraszonym myśliwym. Nie zadowoli się jednak byle zwierzyną, najulubieńszą jego rozrywką myśliwską jest polowanie na „Pana tygrysa“, jak zowią olbrzymiego kota Anamici. Barthelemy wytępił sam w Indo-Chinach masę tych straszliwych, a szkodliwych drapieżników, aż o mało nie padł ofiarą zamiłowania. Pewnego razu olbrzymi tygrys, raniony przez margrabiego kulą, rzucił się nań, przewrócił go i chwycił straszliwymi kłami za ramię. Na szczęście zwierz ten był ciężko raniony, i margrabia zdołał wydobyć się z okrutnego uścisku i dobić drapieżnika. W każdym razie przygodę przypłacił parutygodniową chorobą.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ **J. O.** *(C. d.).*

Pies.

471. Siedzi, jak pies na płocie.
472. Siwieje, jak pies od mordy.
473. Skacze, jak pies na uwięzi.
474. Skutkuje, jak psu rumianek.
475. Słucha, jak pies trąby.
476. Gdzie pies nie chce, tam sługa musi.
477. Smakuje, jak psu siano.
478. Domowe sobaki, choć się kąsają, wilka, albo cudzego psa ujrzawszy, nań się rzucają.
479. Śpi, jak pies na płocie.
480. Spędzony, jak lis przed psami.
481. Spisał się, jak pies w studni.
482. Stoi, jak pies pode drzwiami.
483. Dbam o to, jak pies o piątą nogę.
484. Człowiek na starość psem śmierdzi.
485. Powiedział pies suce, że się zna na tej sztuce.
486. Sypią się, jak psy do kuchni.
487. Kogo nie szanują, tego psami wyszczują.
488. Kto mię szanuje, ten i psa mego.
489. Szczęśliwy, jak pies w studni.
490. Jak pies usiądzie na dziedzictwie szlachcica, to ogon za granicą trzyma.
491. Szlachcic bez honoru, jak pies bez ogona.
492. Śmiałków psy kąsają.
493. Po śmierci niechaj psu trawa rośnie.
494. Śmierdzi, jak pies przez ścianę.
495. Śpiewa basem, jak pies czasem.
496. Świeci się, jak psu w zębach.
497. Co się kupi tanio, psom się dostanie.
498. Rośnij psu trawa, kiedy mojego konia niema.
499. Trzyma go, jak psa na uwięzi.
500. Tyle tego, jak we psie kiełbas.

(C. d. n.).

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 60 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

O G Ł O S Z E N I A.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.